

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 25.

CHICAGO, 21-go CZERWCA (JUNE 21-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



ŚWIĘTY JAN CHRZCICIEL.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy).

Czytelnik wyobrazi sobie moje wzruszenie, gdy na środku łąki ujrzałem potężnego bawołu, stojącego spokojnie opodal strumienia. Zsunąwszy się jeszcze głębiej w zarośla, począłem się czołgać. Upłynęła może z godzina czasu, zanim zmieniłem kierunek w stronę brzegów polanki. Poruszałem się z największą ostrożnością, aby nie potraćić nawet gałązki. Przez cały ten czas nie widziałem zwierzęcia, ale zato, gdy się doczołgałem do brzegu, ujrzałem je w całej okazałości. Wyznaję, iż ponieważ były to pierwsze moje łowy na bawołu, serce biło mi nie tylko ciekawością, myśliwskim zapalem, ale i pewnem wzruszeniem, nieco do strachu podobnem. Ten bawół, stojący teraz ode mnie nie dalej, jak na sześćdziesiąt jardów, wydawał mi się nie tylko wielkim, ale prosto potwornym. Był to istotnie potężny zwierz z ogromnym łbem, szerokim, może na półtrzeciej pędzi, z rogami tak czarnymi, jak heban, zaledwie widocznymi wśród kudłów, pokrywających głowę, garb i wogóle przednią część ciała. Kudły te były prawie zupełnie czarne, reszta zaś sierści jednolitego brązowego koloru. Zwierz, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, stał spokojnie, nie pasąc się trawą, ale poruszając z wolna żuchwiami, z których zwieszała się ślina. Od czasu do czasu uderzał silnie przednią nogą w murawę, zresztą zdawał się być zupełnie zajęty przeżuwaniem. Opanowawszy wzruszenie, wymierzyłem doń spokojnie, ponieważ zaś stał obrócony do mnie lewą stroną, starałem się trafić go w serce. Strzał był niedaleki i do tak wielkiego zwierzęcia łatwy, po chwili więc pociągnąłem za cyngiel. Po moim strzale rozległ się drugi, tak jednocześnie, że prawie nie mogłem go odróżnić. Według polecenia „Lewej ręki”; zamiast wyskoczyć z zarośli, przysiadłem spokojnie, czekając, co się stanie, łatwo więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy ujrzałem, że bawół nie drgnął nawet, zupełnie tak, jakby nie słyszał naszych strzałów. Po chwili jednak zwierz poruszył się zachwiał i, nie wydawszy najmniejszego głosu, klęknął na przednie nogi, a następnie zwałił się całą masą olbrzymiego swego cielska. Wyszliśmy wówczas obaj, trzymając w pogotowiu karabiny, ale, gdyśmy zbliżyli się do niego, nie poruszył się wcale, po kilku zaś minutach nie żył. Oba strzały były trafne i oba śmiertelne. Z tem wszystkiem „Lewa ręka” teraz wytłumaczył mi, dlaczego zabronił mi pokazywać się po strzale. Bawół po strzale nie ucieka nigdy, jeśli nie zobaczy człowieka; spłoszony

jednak jego widokiem, umyka i często, choć ranny śmiertelnie, potrafi ubiedz kilka mil, zanim padnie.

Oczywiście, wówczas odszukanie go, albo całkiem jest niepodobne, albo, przynajmniej, niezmiernie trudne i kłopotliwe. Bawół, któregośmy zabili, był tak wielki, że jakkolwiek leżał na brzuchu, gdym stanął przy nim, garb jego dochodził wysokości mojej głowy. Nie wierząc własnemu szczęściu, dotykałem rogów i sierści zwierzęcia, w której moja ręka tonęła całkowicie, a następnie, siadłszy obaj z „Lewą ręką” na trupie zapaliliśmy fajki. Oczywiście, o zabranii takiej zwierzyny, ważącej pewno koło tysiąca pięciuset funtów, ani mogliśmy marzyć; wypocząwszy więc trochę po trudzającym czołganiu się w krzakach wróciliśmy do koni. Wsiadłszy na nie, udaliśmy się z powrotem do karawany, którą w godzinę dogoniliśmy z łatwością. Wiadomość o naszym powodzeniu wzbudziła ogólną ciekawość, a nawet zazdrość. Wszyscy chcieli jechać oglądać naszą ofiarę. Karawana musiała zatrzymać się na czas pewien, którego potrzebą było do zdjęcia skóry ze zwierzęcia. Mięso jego porabialiśmy z pomocą toporów na sztuki i, ułożwszy na muły co przedniejsze części odwieźliśmy je do obozu, resztę pozostawiliśmy dla wilków.

Tegoż samego dnia wieczorem, pierwszy raz w życiu jadłem garb bawoli, pieczony w popiele. Utrzymywałem dla własnego honoru, że nigdy nie jadł smakowitszej pieczeni, sądząc jednak, że sposób, w jaki ją przyrządzają, pozostawia wiele do życzenia.

Stary strzelec i przewodnicy utrzymywali, że póki nie wyjedziemy z kanionu, a przynajmniej, póki nie dotrzemy do skrzyżowania Północnych Wioś na wschód, wypadkiem tylko możemy spotkać stado bawołów — częściej zaś „odłączone.” Jakoż przyszłość pokazała, że się nie mylili; pierwsze bowiem znaczniejsze stado spotkaliśmy dopiero tuż przy wyjściu z kanionu. Tymczasem jednak posuwaliśmy się naprzód, wolniej wprawdzie, niż poprzednio, droga bowiem, skutkiem zwięzania się odległości między górami, stawała się coraz trudniejszą, ale wytrwale. Główną trudność stanowiły zarośla, które rozszerzały się coraz bardziej po obu stronach rzeki. Ze strony Indian mieliśmy teraz zupełną spokojność. Ani jeden nie pokazywał się po ostatnim pojawieniu. Zato w kilka dni później zaszedł wypadek, który mógł skończyć się tragicznie. Zdarzyło się, że Woothrup, oddalwszy się z góry z Bennetem i z jednym z przewodników, zostali napadnięci przez niedźwiedzicę, idącą z dwoma młotami. Woothrup, który szedł naprzód o jakie 200 jardów (konie zostawili u wejścia do bocznego kanionu), strzelił do niej naprzód i postrzelił ją, ale lekko. Rozwścieczona niedźwiedzica rzuciła się natychmiast na niego. Woothrup do

tego stopnia stracił przytomność, że, zamiast strzelić do niej drugi raz, a nawet trzeci i czwarty, co mógł łatwo uczynić, będąc uzbrojonym w karabin, systemu Henry, rzucił broń na ziemię i począł uciekać w kierunku najbliższego drzewa. Dopadłszy do drzewa, zamiast wleźć na nie, objął je tylko ze strachu rękami i nogami u dołu i pozostał. Byłby zginął niechybnie, pomimo, iż towarzysze nadbiegali mu co sił z pomocą, gdyby nie to, że, szczęściem, młode niedźwiadki rzuciły się wraz z matką naprzód, jeden zaś z nich wyprzedził ją i, zaplątawszy się jej pod nogi w chwili, gdy powstawała na zadnie łapy, przewrócił ją na ziemię. Oślepiąca wściekłością niedźwiedzica poczęła przewracać się po ziemi z własnymi dziećmi, bić je i szarpać wydając przytem przeraźliwe ryki. Ta zwłoka ocaliła Woothrupa w tejże bowiem chwili nadbiegł Bennet z przewodnikiem, i obaj, przyłożywszy prawie lufy do łba zwierzęcia, zabili je na miejscu. Co do dwóch młodych, jednego poszarpała na śmierć matka, drugiego przewodnik schwytał na łąso i przyprowadził żywcem do obozu. Woothrup przez cały dzień nie mógł przyjść do siebie po tym wypadku, a może i wstydził się trochę, bo, jakkolwiek, prawdę mówiąc, bardzo wielu z nas straciłoby tak samo przytomność, przecież zawsze podobne zdarzenia rzucają pewien odcień śmieszności na tych, którym się trafiają. Dla Woothrupa było to tem dotkliwsze, że był naszym naczelnikiem. Wstydził się i mnie, jako cudzoziemca, a to tem bardziej, że w gruncie rzeczy wcale tchórzem nie był, czego później nieraz złożył dowody. Żaden z nas wprawdzie nie pozwolił sobie nigdy żartów w tym przdemocie, stary jednak strzelec nie mógł się wstrzymać od dobroduszej, a złośliwej uwagi, że chronić się przed niedźwiedziem na drzewo jest rzeczą roztropną nie należy brać jednak za fałszywy koniec drzewa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Chłopiec na Wedecie.

Było to w czasie wojny. W piękny letni poranek oddział łkonnicy pod dowództwem młodego oficera posuwał się zwolna i w milczeniu pełną drożyną, badając ostrożnie okolice.

Był to oddział wywiadowczy przedniej straży polskiej armii.

Oddział rozglądał się bacznie na wszystkie strony, dojechał do małego domku, stojącego samotnie w pobliżu wsi.

Przed domem siedział chłopiec wiejski lat dwunastu, wystrugując sobie z gałęzi łaskę. Z dymnika na dachu powiewała mała chorągiewka o barwach narodowych: w domu nie było nikogo więcej.

Spostrzegłszy wojsko, chłopiec wstał i zdjął czapkę.

Ładny to był chłopczyna, o ciemnej twarzy, z wielkimi, błękitnymi oczyma, z długimi, jasnymi włosami, ubrany po wiejsku.

— Co ty tu robisz, chłopcze? — zapytał go oficer. — Czemuś nie uciekł z rodziną?

— Ja nie mam rodziny, jam sierota — odrzekł chłopczyk. Pracuję dla wszystkich, a zostałem, bo chcę wojnę widzieć.

— Przechodził tędy nieprzyjaciół? — zapytał oficer.

— Nie, panie, już od trzech dni go nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, potem zeskoczył z konia, podał go do trzymania żołnierzowi, a sam po drabinie, przystawionej do dachu, dostał się na szczyt domu, aby stamtąd rozglądać się po okolicy. Ale dom był niski, więc z dachu nie wiele co mógł widzieć.

— Z domu mało co widać — rzekł oficer; — trzeba wejść na drzewo i z niego zbadać okolice — dodał, schodząc z dachu na ziemię.

O kilkanaście kroków od domu, naprzeciwko drzwi, stał jesion, cienki, ale wysoki, najwyższy ze wszystkich dokoła, tak że jego wierzchołek, poruszany wiatrem, zdawał się kołysać w niebios lazurze.

Oficer spoglądał na drzewo, to na swoich żołnierzy; nagle zwrócił się do chłopca i zapytał:

— Chłopcze, masz ty dobry wzrok?

— Ja panie? — tóż ja wróbla w gniaździe o milę spostrzegę!

— A potrafisz wleźć na drzewo?

— Jak wiewiórka, panie!

— A potrafisz mi powiedzieć, co stamtąd zobaczysz: czy nie ma gdzie nieprzyjaciela, czy nie widać strzelb, koni?

— Pewnie, że potrafię.

— A czego żądasz za tę przysługę?

— A to dopiero, czego żądam?.. nic nie żądam! Przecież to dla swoich; gdyby to nieprzyjaciół tego chciał, to za nic w świecie bym mu nie zrobił, ale dla swoich.. w ogieńbym skoczył.

— Zuch z ciebie, chłopcze.

W jednej chwili chłopak zdjął buty, zaciśnął rzemyk u pasa, rzucił czapkę w trawę i objął pień drzewa. W kilka chwil był już na wierzchołku drzewa. Ledwie go było można dojrzeć, tak się tam malutkim wydawał; tylko główka jego jasna, oświecona promieniami słońca, wyglądała wśród liści jak złota.

— Patrz prosto przed siebie i daleko! — zawołał oficer.

Chłopiec, aby widzieć lepiej, przyłożył prawą rękę do czoła.

— Widzisz co? — zapytał oficer.

Chłopiec twarz ku niemu pochylił i rękę, zbliżając do ust, aby głos uczynić donioślejszym, zawołał:

- Dwóch ludzi stoi na koniach na gościńcu.
- Daleko stąd?
- O jaką milę?
- Co więcej widzisz? Patrz na prawo!
- Koło cmentarza coś błyszczy, niby bagnety.
- Widzisz ludzi?

W tej chwili ostry świst kuli przeszył w górze powietrze i zamarł gdzieś w dali.

— Złaź, chłopcze! — krzyknął oficer.

— Kiedy ja się nie boję! — doleciał głos z drzewa.

— Złaś mi natychmiast! — zawołał powtórnie oficer.

— Zaraz, tylko jeszcze spojrzę na lewo — odpowiedział chłopiec.

W tej samej chwili ze świstem przeleciała druga kula, za nią trzecia, a za tą inne, brzycząc jak osy.

— Na ziemię! — groźnie zawołał oficer.

— Zaraz, panie... Na lewo widzę od... nie do końca chłopiec i począł się spuszczać na ziemię.

Z razu czepiał się to za pień drzewa, to za gałęzie; nagle ręce mu się rozwarły i chłopiec bezwładny głową na dół zleciał na ziemię.

— Bodajecie przepadli! wykrzyknął oficer pod biegając ku drzewu.

Chłopak jak padł, tak leżał bez ruchu, struga krwi płynęła mu z piersi.

Sierżant i dwaj żołnierze zeskoczyli z koni i przybliżyli się do chłopca. Oficer ukląkł, nachylił się nad chłopcem i rozerwał mu koszulę na piersi. Z rany w lewym boku płynęła krew.

— Odwagi, chłopcze! — powiedział przyciskając ranę chusteczką, aby zatamować krew; — żyć będziesz.

— Nie panie, wyszeptał zaledwie dosłyszonym głosem, ale... to... za... ojczyznę — wyjąknął, potem westchnął, a z tem westchnieniem uleciała jego dusza...

Oficer ze łzą w oku chwilę wpatrywał się w zwłoki małej ofiary, potem przymknął chłopcu oczy. Następnie zerwawszy chorągiewkę z dachu, nakrył nią ciało chłopca, oprócz twarzy, na którą raz jeszcze z żalem spojrzął i zakomenderował:

— Na koń!

Posłuszeni żołnierze w jednej chwili spełnili rozkaz, i za chwilę oddział pędził ku swoim.

.....

Tą samą drożyną, w kilka godzin później ciągnęła cała przednia straż, złożona z dwóch pułków wśród których już się była rozeszła wieść o śmierci małego bohatera. Gdy wojsko mijało samotny domek, oficerzy spostrzegli pod jesionem nakryte narodowym sztandarem ciało chłopca. Na ten wi-

dok wszyscy sprezentowali broń, czcząc w ten sposób dzielnego i odważnego chłopca. Jeden z oficerów zerwał nad brzegiem strumyka, który tu płynął przy drodze, dwa kwiatki i rzucił je na chłopca. Za jego przykładem poszli inni, i wkrótce chłopiec był cały pokryty kwieciami, z pośród którego widniała tylko jasno-włosa już główka, oświecona promieniami zachodzącego słońca z pogodną i uśmiechniętą twarzą, jakby uradowaną ze śmierci za ojczyznę.



ŻYCIE I PRZYGODY ŻABKI.



Według Brzezińskiego opowiedział F. Porąbka.

II.

(Ciąg dalszy.)

W ostatnim numerze czytelnicy dowiedzieli się z opowiadania żabki, jak z małej kijonki przeistoczyła się w prawdziwą żabę, gdy jej wyrosły cztery pletwowe nogi i gdy utraciła ogon. Odtąd swobodnie mogła już przestawać ze staremi żabami, żyjąc już w wodzie, już na ziemi.

Byłem ciekawy poznać to życie żab napwół na ziemi, napwół we wodzie; prosiłem więc żabki, aby mi w dalszym ciągu opowiedziała swoje życie i przygody w niem doznane. Bo któż, młodzi moi czytelnicy, w życiu nie doznaje różnych przygód? Mają je ludzie, mają je też i zwierzęta. Żabka z chęcią przychyliła się do mojej prośby i tak dalej opowiadała:

Odkąd po raz pierwszy wyszłam z wody na brzeg stawu, odtąd rozpoczęło się dla mnie zupełnie nowe życie: częścią we wodzie, częścią na ziemi. Ale co prawda, bardziej lubiałam przebywać na ziemi wśród pięknej, zielonej trawy i kwiatków na świeżem powietrzu, niż się moczyć w stawie, jak to robią duże, zielone żaby.

Nawet i o pożywienie łatwiej mi było na ziemi, niż we wodzie.

Nieraz, jak mi się jeść zachce, a w wodzie nie udało mi się złapać jakiego ślimaczka, lub małej rybki, wyskakuję zaraz na brzeg, idę na łąkę i rozglądam się po różnobarwnych kwiatkach.

Jak tylko zobaczę muchę na kwiatku, albo innego owada, natychmiast skradam się cichutko, zniechęca otwieram paszczę, wyrzucam z niej długi na końcu rozdwojony języczek i... haps! zagarniam nim muchę do ust!

A co ja zjadłam tych much, żuków i innych drobnych owadów! Ale też za to rosłam z każdym dniem i miałam już prawo do nazwy „skrzeków,” jaką ludzie nas obdarzyli.

Z wiekiem, jak to zwykle i u ludzi bywa, nabierałam coraz więcej i doświadczenia i odwagi. Nie trzymałam się też wyłącznie przy samym brzegu stawu, ale puszczałam się na sam jego środek, gdzie woda jest głęboka, a przezroczysta, jak lustro, i z tego powodu łatwiej przychodzi nam uniknąć niebezpieczeństwa ze strony różnych wodnych najszybszych nieprzyjaciół. A iluż to ich tam mamy! Nie mówię już o tym wilku wodnym, szucupaku, ale i ten żmijowaty piskorz jest chytrym i strasznym nieprzyjacielem.

było bardzo mojej przyjaciółki i serdecznie ją opłakałam i postanowiłam sobie być bardzo strożną i unikać tego żarłoka. Dlatego częściej przesiaduję na brzegu w trawie, niż we wodzie. Lecz i tutaj nie zawsze jestem bezpieczną, bo i na ziemi mamy różnych nieprzyjaciół, którzy cychają na nasze życie. To ptaki, to węże godzą na nas. I sama o mało, że nie stałam się pastwą wielkiego węża. A było to tak:

W wycieczkach moich po lądzie często zapuszczałam się daleko od wody.

Właśnie jednego razu wybrałam się z moją przyjaciółką na taką daleką wyprawę.

Dzień był bardzo piękny, po łące rozchodził się zapach różnego kwiecia; łowiąc muszki, skakałyś-



NIEPRZYJACIEL ZABY.

Ten wróg niedawno temu pozbawił mnie najlepszej mojej przyjaciółki.

Było to w samo południe.

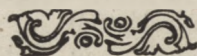
Ja siedziałam sobie na brzegu, a moja przyjaciółka we wodzie, wystawiwszy tylko głowę ponad wodę. Rozmawiałyśmy wesoło i swobodnie, naradzając się gdzie zrobimy wyprawę lądową, gdy nagle spostrzegłam błyskotliwe cielsko tego przebrzydłego piskorza, który chyłkiem, jak złodziej, podkraadał się ku mojej towarzysce. I, nim zdołałam ją ostrzedz przed grożącym niebezpieczeństwem, ten morderca wodny uchwycił moją przyjaciółkę w swą paszczę i wciągnął do wdy, gdzie ją pożarł. Żal mi

my coraz dalej, nie uważając, że dostałyśmy się między różne krzaki.

Nagle spoglądałam w bok i z przerażeniem spostrzegłam dwoje małych strasznie błyszczących ślepi wielkiego węża. Struchlałam! Wąż wciąż wpatrywał się we mnie, a ze mną stało się coś niezrozumiałego: chciałam uciec, a ruszyć się nie mogłam; owszem czułam, jakby mnie coś ciągnęło i pchało bliżej do węża, do co chwila otwierającej się jego paszczki. Lęk mnie z każdą chwilą opanowywał coraz większy, cała drżałam ze strachu, ale nie miałam siły uciec, byłam jakby przykuta.

Już, już paszczka węża coraz bliżej była i za

chwile miałam zniknąć w niej, gdy stało się coś niespodziewanego. Jak przez sen usłyszałam szum, a z nim ujrzałam wielkiego ptaka, który lotem strzały spuścił się na węża, wbił szpony w jego cielsko i równie szybko wijącego się uniósł w powietrze. Wszystko to stało się tak prędko, że nim się opamiętałam, węża i ptaka widać już nie było. Odetchnęłam swobodnie i coprędzej z przyjaciółką niemniej ode mnie przerażoną wróciłyśmy do stawu.



Czyny nauczające.

Niewinnie oskarżony.

Król perski Abas, który niezmiennie lubił muzykę, pewnego dnia, będąc na polowaniu, usłyszał grającego na flecie pasterza, którego zabrał do swego pałacu i nakazał starannie go wychowywać.

Ali Bej, taką była nazwa pasterza, nietylko talentem muzycznym był obdarzony, ale posiadał wiele innych cnót: był pracowity, wierny, cichy, dobry i miłośniwy i przy tem bardzo zdolny.

Nic też dziwno, że prędko pozyskał sobie łaski króla. Zrazu monarcha przywoływał go do siebie tylko wówczas, kiedy po pracy i trudach życia codziennego pragnął cichego odpoczynku. Wtedy rozkazywał pacholęciu siadać na stopniach tronu i grać na flecie.

Pewnego razu, zdarzyło się, że wdał się z pastuszkami w rozmowę i przekonał się, że ten bardzo mądrze odpowiadał na wszystkie jego pytania.

Wówczas król postanowił go uczyć, aby wyższe mógł zająć stanowisko.

W ten sposób Ali Bej został z czasem podskarbnikiem królewskim.

To wywołało wielką zazdrość wśród innych dworzan. Nie mogli darować, że prosty pasterz wzbił się na tak wysokie stanowisko, i postanowili go zgubić.

W tym celu, najprzód poczęli śledzić Alego, aby dopatrzeć w nim jaką słabą stronę charakteru, jaki występki.

Niebawem do uszu króla doszły różne zarzuty, czynione jego ulubieńcowi. To donoszono mu, że Ali jest rozrzutny i marnuje skarby królewskie, to że w mieszkaniu swoim ma jeden pokój, który zamyka i do którego nikogo nie wpuszcza, tylko sam codziennie spędza w nim kilka godzin.

W istocie Ali hojnie rozdawał jałmużny ubogim. Dobroczyńcą zwali go wszyscy ubodzy, dla których nawet własnym kosztem wybudował dom przytułku.

Prawdą też było, że Ali lubił spędzać w samotności niejedną godzinę dnia i zamykał się często w oddalonym pokoju swego mieszkania...

Abas kochał Alego i dlatego nie chciał wierzyć tym wszystkim oskarżeniom.

Nic jednak niema stałego na świecie.

Pewnego dnia rozeszła się po Egbatanie smutna wiadomość, że zacny król umarł nagle, a na opoźnionym tronie zasiadł syn jego. dobry, choć podejrzliwy wielce — Sesi.

Ten, posłyszawszy o zarzutach, które dworzanie czynią podskarbiemu, postanowił przekonać się, czy są słuszne i poszedł sam obejrzeć skarbiec, w którym znajdowały się klejnoty i pamiątki rodzinne. Brakło drogocennej szabli, którą ojciec jego otrzymał kiedyś w darze od sułtana Zahiego. Rozgniewany i nie wątpiąc, że Ali przywłaszczył sobie szablę, przyzwał go do siebie i rzekł:

— Przekonałem się, że zarzuty przeciw tobie są słuszne, okradasz skarb i skradzionymi bogactwami zdobywasz sobie imię dobrodzieja. Za to pozbawiony będziesz urzędu.

Ali wysłuchał spokojnie tych słów bolesnych.

— Zanim opuszczę twój dom, królu, pozwól mi się oczyścić z zarzutu, bo imię uczciwego człowieka to jedyny klejnot, który przez całe życie zdobyć usiłowałem — odparł Ali.

Sesi zgodził się,

Wtedy Ali przyniósł mu księgę, w której zmarły jego ojciec, Abas, własną swą ręką spisał wszystkie klejnoty, znajdujące się w skarbcu. Drogocenna szabla była tam także wymieniona, ale z dopiskiem następującym:

“Szablę tę zabrałem ze skarbcza i klejnotami jej przyozdobiłem koronę którą noszę w dni świąteczne i uroczyste.”

Zachwiało się podejrzenie króla, jednakowoż nie był jeszcze zupełnie przekonany o niewinności Alego.

— Zaprowadź mnie teraz do swej tajemniczej kryjówki — rzekł patrząc mu badawczo w oczy — podobno chowasz w niej skrzynię pełną drogich kamieni.

Ali uśmiechnął się i natychmiast poprowadził króla do oddalonego pokoju.

Wszedłszy tam, Sesi skrzyń ze skarbami nie zobaczył, tylko na ścianie wiszącą lichą, starą pasterską suknię, flet i torbę.

— Oto moje skarby — rzekł Ali głosem wzruszonym — innych nie posiadam; co zapracuję, biednym oddaję, pamiętając o tem, że sam niegdyś byłem biednym.

— Wdzięczny jestem Bogu, rzekł wzruszony król — żem się przekonał, jakie kłamstwa żli i zazdrośni ludzie potrafią tworzyć. Od dziś nigdy oszczerstw słuchać nie będę. Groziło mi wielkie nieszczęście, bo chciałem poniżyć zacnego i sprawiedliwego, a wywyżżyć podłych i chciwych. Prze-

bacz mi moje podejrzenia i bądź mi nie tylko sługą, ale i przyjacielem.

Ali skłonił się i skromnie choć bez służalstwa odrzekł:

— Jakom wiernie służył ojcu twemu, panie, tak tobie służyć będę.

BEZ PRACY NIE BĘDZIE KOŁACZY.

Ludzie się uczą, żeby umieć zapracować na chleb. I zwierzęta znają pożytek nauki.

Pewien myśliwy, stojąc wieczorem cichutko w zaroślach, ujrzał lisa, który wciąż wskakiwał na dość wysoki pień, a później z niego zeskakiwał. Myśliwy z ciekawością przyglądał się tej zabawie, ale zdziwił się bardziej jeszcze, gdy nagle lis odszedł i po chwili wrócił, niosąc w pysku grubą, ciężką gałąź, z którą zaczął znów skakać na pień. Nie udawało mu się to z początku; dopiero po kilkunastu skokach tak się wprawił, że mógł za razem z gałęzią wskoczyć na pień. Wówczas odrzucił ją, i rozciągnąwszy się na tym samym pieńku, leżał nieruchomie.

Zaczęło się zmierzchać, gdy z pobliskiej gęstwy wyszła maciora z pięciu prosiętami. Kiedy przechodziła koło pnia, na którym leżał lis zaczajony, napastnik zeskoczył nagle, porwał jedno prosię, zaraz wskoczył z niem na pień. Na kwik prosięcia rozgniewana maciora przybiegła do pnia, ale drapieżnik siedział zbyt wysoko, aby go mogła dosięgnąć, ostatecznie jednak musiała odejść, nic nie wskórawszy. Zdobycz została przy lisie.

Skoki z gałęzią, które tak zadziwiły myśliwego, nie były więc zabawą, ale nauką, ćwiczeniem, aby z ciężarem móżdżka wysoko skoczyć i umknąć przed pogonią. Bez tej nauki lis nie byłby upolował smaczniego prosiaka.

ZMYŚLNY PUDEL.

Pewien uczony miał taki zwyczaj, że wieczorem, leżąc w łóżku, czytywał bardzo długo. Często zasypiał ze zmęczenia, zapomniawszy zgasić świecę.

Niedobry to zwyczaj — czytywać w łóżku. Psują się oczy od tego. Nieraz też bywały wypadki pożarów, kiedy świeca albo lampa wywróciła się. Wówczas wtenczas najpierwej płomień ogarnia pościel, i ten, co był przyczyną nieszczęścia, ginie poparzony i uduszony dymem.

Wiedział o tem uczony, o którym mówimy, ale trudno mu było odwyknąć od nałogu późnego czytania. Ze strachem budził się nieraz w nocy, aby zgasić świecę, ale gdy spojrzał, już w pokoju było ciemno.

— Kto zgasił świecę? — myśli sobie. — Pokój na klucz zamknięty, a prócz mnie nikt tu nie sypia.

Żeby to zbadać, zostawił razu pewnego świecę niezgaszoną i udał, że zasypia.

Wkrótce ujrzał, jak ulubiony jego pudel, który spał w kącie na posłaniu, zerwał się, wskoczył na krzesło i łapą świecę zgasił.

Poznał tedy uczony, jakiego dobrego miał opiekuna w swym wiernym pudlu.

Dziadek i wnuczeta.

Wrócił dziaduś z gór, zmęczony

Oparł się o drzewo;

Starem drzewkiem wiatr kołysze,

W prawo chwieje, w lewo —

Czesze białe włosy dziadka,

Szumem listków gada,

I przebiegłszy hen — dolinę,

W cichy las zapada.

Nie sam wrócił dziadek stary —

Oj, wiem ja dlaczego!

Grzecznej dziatwie przyniósł w darze

Baranka białego;

Już zły orzeł skrzydłem chyżem

Za biedakiem gonił —

Ale dziaduś spłoszył zbója,

Baranka obronił.

— Chodź, chodź — mówił — będzie u mnie

Dobrze, jak przy matce —

Mam ja chatkę na dolinie,

Dwoje dzieci w chatce.

Zośka srebrną szyjkę twoją

We wstążkę ubierze —

Świąż trawkę da ci Hanka

I pokocha szczerze.

Nie mylił się dziaduś stary,

Mówiąc tak do niego —

Ucieszyły się dziewczątka

Z baranka białego;

W obie rączki zaklaskały,

Siadły przy nim w koło —

Dziaduś patrzy na dziewczynki,

Śmieje się wesoło.

Nie znał jeszcze nasz baranek

Takiego spokoju —

Z dziewczátkami biegł na łąkę,

Wodę pił u zdroju;

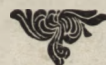
Kędy tylko szły — na hale,

Czy na ostre skały:

Wnet za niemi: mee! wołając,

Biegał baranek biały.

Kazimierz Gliński.



MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyjny: **MACIERZ POLSKA,**

81 INGRAHAM STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Prenumerata roczna wynosi \$1.00,
lub miesięcznie 10 ct

Po edytcy numer 3 centy

Adres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**

141-143 W. DIVISION STREET,

CHICAGO, ILL.

MACIERZ POLSKA

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE

Issued at Chicago every Thursday

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**

81 INGRAHAM STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month.

Single copy 4 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Sen Leszka Białego.

(Opowiadanie z roku 1202).

(Umierając Kazimierz Sprawiedliwy zastawił małego syna Leszka. Panowie krakowcy zaczęli rządzić w jego imieniu. Wtenczas przeciwko samowoli panów krakowskich wystąpił Mieszko III zwany Starym i chciał znowu zająć tron. Ta walka o dzielnicę krakowską (1194 — 1202) skończyła się wraz ze śmiercią Mieczysława.

Panowie krakowcy, za radą wojewody Mikołaja, zwrócili się wtedy do Leszka, ofiarując mu tron pod warunkiem, aby oddalił od siebie wojewodę Goworka, który wychował króla. Leszko nie przyjął upokarzającego warunku. Wtedy na tron wstąpił syn Mieszka III Władysław Laskonogi (1206 — 1206), a gdy ten musiał ustąpić ofiarowano koronę znowu Leszkowi Białemu 1206 — 1227).

Wczesnym rankiem letnim w Sandomierzu panowała jeszcze cisza. Miasto powoli budziło się ze snu. Z wieży kościoła Najświętszej Maryi Panny odezwał się dzwonek, zwołujący wiernych na modlitwę. Cicho otworzyła się brama zamku książęcego i wyszedł z niej stateczny siwy mąż; przy nim postępowało młode pacholę, pańskiej postawy, w szkarłatnej sukni, bramowanej złotem, z wyszytym białym orłem piastowskim na piersiach. Był to młody książę Leszek. Jasne, jak len włosy spadały mu w lokach na ramiona, twarz jego była bieluchna jak mleko, a pogodna jak słońce; nie dziw, że go Leskiem Białym przewzano.

— Dlaczego książę tak wcześniej wstał dzisiaj?

— Czyście niezadowoleni z tego wojewodo?

— O nie! Przeciwnie, rad jestem bardzo. Ojciec wasz, król Kazimierz Sprawiedliwy, gdy był jeszcze księciem na Sandomierzu, codziennie rannem słuchał mszy świętej u Świętego Piotra — powiedział wojewoda Goworek, on to bowiem towarzyszył młodemu Leszkowi.

Lecz Leszko nie słuchał, pogrążony w myślach. Wojewoda spostrzegł to zamyślenie młodego księcia.

— Czemu to mój mały książę taki zamyślony dzisiaj? — spytał.

— Ach, wojewodo, miałem bardzo dziwny sen. Dlatego nawet wcześniej wstałem.

— Cóż to za sen?

— Sniło mi się, że przyszli jacyś wielcy panowie, położyli przedemną złote serce i złotą koronę, i kazali mi wybierać. Zawahałem się — lecz wybrałem serce, a ono zaczęło bić mi w rękę tak głośno, jak ludzkie serce bije w piersi. Panowie z koroną odeszli. Wtem korona upadła im na ziemię, potoczyła się i zatrzymała u moich stóp. Dziwny sen.

— Rzeczywiście dziwny. Możecie, książę, myśleli o koronie i dlatego wam się przyśniła.

Leszko potrząsnął głową.

— Ej, nie, nie myślałem.

— A należy wam się ona, należy. Toć to wasze dziedzictwo.

— Dwa razy już mnie stryj Mieszko wyrzucał z Krakowa, niech sobie siedzi tam teraz do śmierci.

— A śmierć mu chyba już bliska, stary już jest bardzo.

Leszek nic nie odpowiedział, pogrążony w myślach; wojewoda ciągnął dalej:

— Nawet po śmierci Mieszka, Mikołaj, wojewoda krakowski, nie pozwoli wam, książę, włożyć korony na głowę. Za jego to pomocą stryj wasz odebrał wam Kraków.

— Poróżnił się Mikołaj z wami, wojewodo, dumny to pan! — odpowiedział Leszek. — Lecz wyście u mnie pierwsi, niż dziesięciu Mikołajów. Ach doprawdy, taki niespokojny jestem — dziwny ten sen... a tak wyraźny był, jak na jawie...

Goworek smutnie potrząsnął głową.

— Sokole mój jasny — rzekł serdecznie — strzegłem cię i strzegę jak oka w głowie, lecz korony królewskiej nie jestem w stanie ci zdobyć.

— Mnie też nie trzeba korony. Sandomierz mi wystarczy. Chodźmy pomodłę się, może niepokój umilknie, chodźmy, wojewodo!

Weszli do kościoła: mrok snuł się po pięknej świątyni, cichy, szept kapłana łączył się z westchnieniami ludu. Leszek z wojewodą podeszli ku stallom, stojącym przy wielkim ołtarzu. Wojewoda usiadł smutny, Leszek uklęknął i zaczął się modlić.

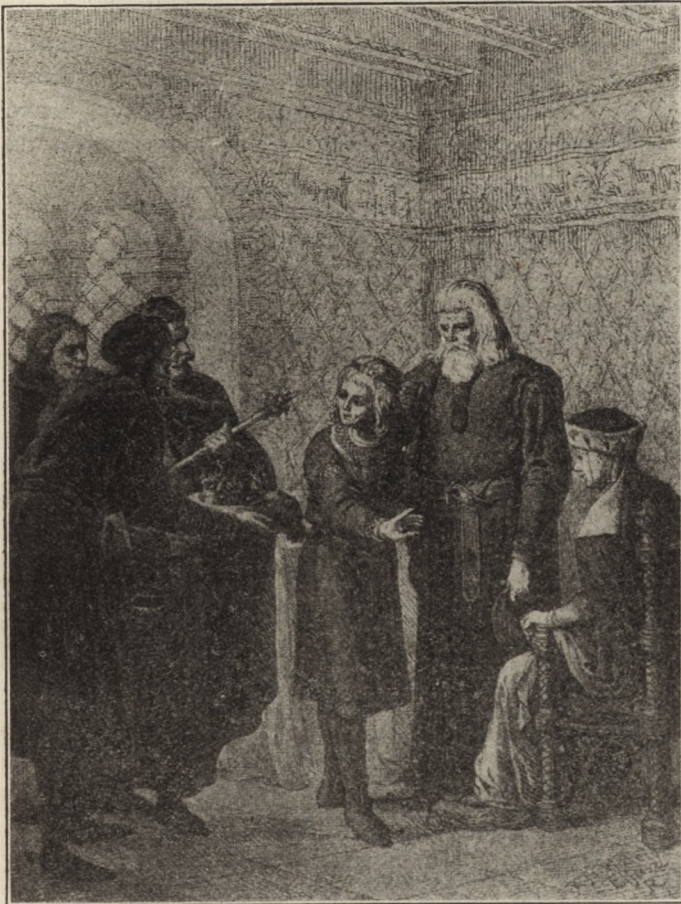
Lecz niepokój nie opuszczał młodego księcia. Coraz silniej kołatało mu serduszko, coraz natrzejwiej nasuwały się pytania: — Co to znaczy? C oto znaczy?

Gdy wojewoda z Leszkiem wyszli z kościoła, ruch już panował w mieście.

— Gdzie pójdziecie, miły książę. Może przejdziemy się troszkę?

— Chodźmy lepiej na zamek — rzekł Leszek.

Milcząc, szli głębokiem wąwozem. Wreszcie weszli na wzgórze. Tu wznosił się drewniany zamek książęcy. Leszko pierwszy przerwał milczenie.



LESZKOWI OFIAROWUJĄ KORONĘ.

— Dużo widział ten gmach stary, prawda wojewodo?

— Podobno kazał go zbudować Bolesław Chrobry, a do tej świetności doprowadził go książę Henryk.

— Brat ojca? mój stryj?

— Tak, średni syn Krzywoustego. Mężny był to pan. Gdy papież ogłosił wojnę krzyżową, on jeden z książąt polskich i słowiańskich podążył, by odebrać Jerozolimę muzułmanom.

Leszek wetchnął.

— Jakbym też chciał iść na wojnę krzyżową!

Wojewoda uśmiechnął się.

— Ot, bronią jeszcze władać nie umiecie — rzekł — a wojny wam się zachciewa.

— Nie umiem, to się nauczę — zamruczał młody książę.

— Po śmierci Henryka — mówił dalej Goworek — księcia, który zginął w bitwie z Prusakami, zamieszkał tu wasz ojciec.

— Wiem to, wiem, ale patrzcie, wojewodo, co znaczy ten ruch na zamku?

— Może nowiny z Krakowa — rzekł Goworek obojętnie.

— A może to ... cóż znowu! ten sen spokoju mi nie daje!

— Niemyślcie o nim. Sen — mara. Bóg — wiara!

Wtem pachołek, ujrawszy nadchodzących, podbiegł szybko ku nim.

— Posłowie krakowscy przybyli... chcą z księciem mówić — szepnął.

Wojewoda skinął na włodarza.

— Za dwie godziny książę posłów przyjmie — rzekł. — Ugośćcie ich, niech odpoczną.

— Czy nie lepiej teraz, teraz zaraz? — zawołał Leszko niecierpliwie.

— Nie, książę, nie można! — rzekł wojewoda stanowczo. — Zbyt wczesna pora. Niech zresztą zaczekają. Musimy odziać się przystojnie, a i królowa, pani matka wasza, zapewne jeszcze śpi.

— Jabym tak bardzo chciał się dowiedzieć, czego oni chcą...

— Książę, nie zapominajcie, żeście synem królewskim, nie pozwolę wam uchybiać sobie.

Leszek, milcząc, wszedł do pokoju. Niezadowolony był i trochę zadąsany. Goworek szedł za nim, zasmucony uporem młodego księcia. Leszek za uważał ten smutek wojewody, prędko podszedł ku niemu i zarzucił ręce na jego ramiona.

— Nie gniewajcie się na mnie — szepnął. — Wiem, że mi dobrze we wszystkim radzicie, że dziecko, niedobre, nieposłuszne dziecko.

Wojewoda rozpogodził się, przytulił białą twarzyczkę chłopca do swej piersi.

— Młodyś, sokole mój jasny — rzekł. — Nie wiesz, jak z ludźmi postępować trzeba; lecz Goworek zawsze radą, pomocą nawet służyć ci będzie.

Gdy to mówił, kotara od sąsiedniej komnaty uchyliła się cicho! królowa Helena w czarnej sukni weszła do pokoju syna. Goworek przywitał ją głębokim ukłonem, Leszko rzucił się do jej rąk. Królowa z miłością przygarnęła syna do siebie.

— Jak spałeś, moje dziecko?

— Taki dziwny sen miałem...

(Dokończenie nastąpi.)

Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH,

OSOBY.

Eleazar, — ojciec,
Karmel, — syn.
Asser, — syn marnotrawny.
Laban, — handlarz pereł.
Jabel, { Słudzy domu Eleazraa.
Jona, {
Asfenes, { Przyjaciele, pochlebcy Assera.
Zechur, {
Kurkan, { Spiskowcy.
Blessaryb, {
Mamuka,
Towarzysze Mamuki, — nie mówią.
Niewolnik, biorący udział.
Współbiesiadnicy,
Muzykanci,
Dwóch Liktorów Molocha,
Służba domu Eleazara.

Rzecz dzieje się w Lidyi, na przestrzeni między Joppe a Jerozolimą — za czasów panowania Salmanassara IV — króla Babilonii,

AKT PIERWSZY,

Scena Isza.

Przedsionek w domu Eleazara.

ELEAZAR I JABEL.

JABEL: Do usług pańskich.

ELEAZ: Przybliż się, pragnę się z tobą podzielić wesołą nowiną: syn mój młodszy staje się dziś pełnoletnim.

JABEL: Niech Bóg Ojców naszych błogosławi synowi mego pana i niech go zachowa w szczęściu i pomyślności jak najdłuższe lata.

ELEAZ: Bardzo dobrze — w tej też intencji nie o mieszkamy podziękować Najwyższemu — postanowiłem jednak — ażeby zdarzenie to obchodzić jak najuroczyściej we rodzinie i to tak, jak przystało na dom Eleazara.

JABEL: Owszem, według woli pańskiej! kiedyż jednak odbędzie się ów bankiet, jeżeli wolno zapisać?

ELEAZ: Od dzisiaj za ośm dni: zaprosisz wszystkich krewnych, chcę ich mieć przy stole. Nie zapomnij także o moich przyjaciółach: Raguelu, Danielu i Józefie.

JABEL: Wszystko wypełnię, co pan mój rozkaże, rozporządzenia bowiem twoje są zawsze dobrze obmyślane — chciałbym atoli na jedną rzecz zwrócić uwagę, jeżeli wolno....

ELEAZ: Mów, mów Jabelu, wszakże ja cię uważam więcej za syna, niż za sługę i chętnie przyjmuję twe rady, które zawsze były cenne i pożyteczne.

JABEL: Awięc wyjawiam tedy moje zapatrywanie. Wówczas, kiedy pierwotny syn pański Karmel....

ELEAZ: Dosyć, dosyć, już wiem, co chcesz powiedzieć, a raczej zapytujesz mię, dlaczego pierwotnemu synowi także coś podobnego nie wyprawilem, który mże daleko więcej na to zasługiwał.

JABEL: Pan już odgadł moje myśli.

ELEAZ: Drogi Jabelu — tak — zdawałoby się w pierwszej chwili, że to niesprawiedliwie i że Karmel słuszną mógłby mieć urazę. Atoli, pomnij, ojciec, który musi mieć baczące oko na wychowanie całej rodziny, musi uważać na wiele rzeczy i liczyć się z wielu okolicznościami, jakie mają wpływ na dalsze życie dziecka.

Długo myślałem i zastanawiałem się — i jeżeli postanowiłem to dla Assera, czemu nie uczyniłem Karmelowi, to dlatego, że widziałem w tem większą korzyść dla rodziny.

Z czasem przekonasz się o tem

JABEL: Szanuję roztropność pańską i wiem, że nic nie ujdzie bacznego twego oka, co może wyjść na krzyśc dobrego wychowania dzieci.... Bóg cię obdarzył wielkiem szczęściem...

ELEAZ: Nie poskąpił i przeciwności, niech będzie jednak zawsze błogosławiony.... Ale patrzno, ktoś tu idzie przez ogród.. tak, to on — to Laban, powraca z Jerozolimy. Odejdź teraz i zajmij się tem, co ci poleciłem.

JABEL: (Odchodzi.)

Scena 2ga.

ELEAZAR I LABAN.

ELEAZ: (Idzie naprzeciw.) Niech cię Bóg błogosławi, najlepszy Labanie! Jak się masz, drogi; (obejmuje go za szyję.)

LABAN: Bóg z tobą, najdroższy Eleazarze, i z twymi dziećmi.

ELEAZ: Czy z Jerozolimy przebywałeś?

LABAN: Tak, z Jerozolimy — prosto z drogi do ciebie zdążam, zostawiłem przy studni Joasa, wielbłądy i służbę, a sam spieszę w twe progi.

ELEAZ: Dzięki ci, przyjacielu, dzięki — z jakąż radością znowu cię witam w moim domu!

LABAN: A ty jak spędziłeś ten czas?

ELEAZ: W zdrowiu i spokoju.

LABAN: A twoi synowie?

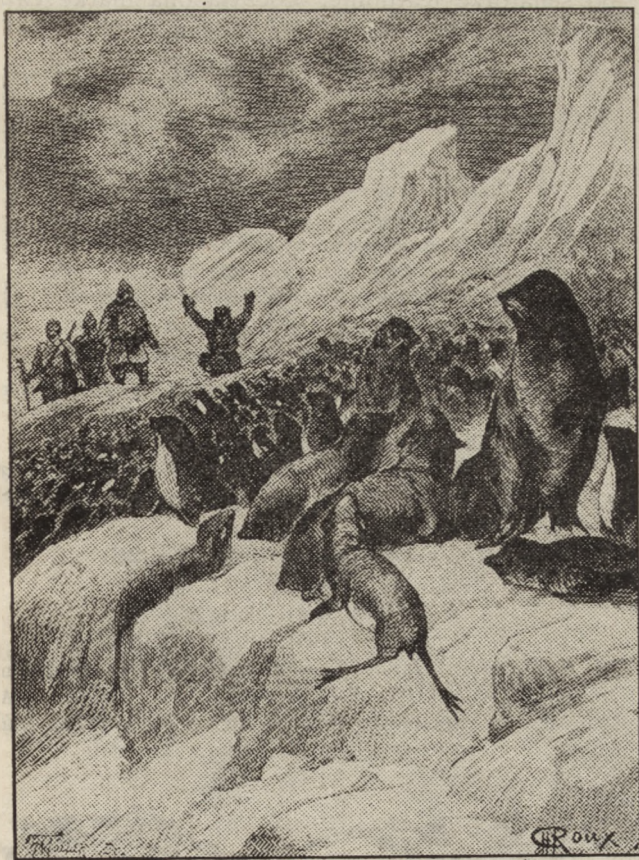
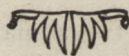
ELEAZ: Dobrze się mają dzięki Bogu — Karmel dobry i posłuszny jak zawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GDZIE WINA.

Mówią wszyscy (wierzyć proszę)
 Żem trzpiot, nawet urwis mały —
 Żadnej nie dał nikt pochwały —
 Tego już nie zniosę!
 Bo — dlaczego trzpiot?... że mama
 Każe szklankę podać — wstaje,
 Tłukę szklankę... słowo daję,
 Roztłukła się sama.
 Urwis — żem od innych inna
 I drabiny się nie boję?
 Włazłam... szczebel trzask — na dwoje,
 To ja temu winna?
 Albo proszę: woła tatko —
 Więc się zrywam, biegnę — nagle
 Trrr!... sukienka, jak dwa żagle,
 Rozdarła się gładko.
 W czymże winna tak okrutna,
 Że się zaraz mama gniewa?
 Szklanka — ze szkła, szczebel — z drzewa
 A sukienka z płótna.

Kazimierz Gliński.



W KRAINIE LODÓW.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECJANA.
 Przez Teręzę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Do zemdlonej zbliżyło się trzech niewolników.
 Ci, podnieśli ją troskliwie i umieścili w lektyce, a
 patrycyuszka siadła obok niej.

— Idźcie za nami! — rzekła do Leny i Julii.
 Lecz te i bez tego rozkazu nie opuściłyby Syl-
 wii.

Marcelin wzinął wzrok ku niebu.
 — Dzięki Tobie, Panie! — szepnęła.
 — Do roboty! nie próżnować! — zabrzmiał w
 tej chwili głos dozorców.

I mularze chwycili znowu za kielnie.

V.

Tegoż dnia późnym wieczorem, tym razem nie-
 przebrany za żebraka, dążył Stabor do mieszkania
 matki Weroniki.

Otworzyła mu Julia, która zrazu go nie pozna-
 ła, dopiero przypatrzawszy się lepiej, rzekła:

— Sylwię przyszedłeś odwiedzić? U nas obec-
 nie jej nie ma, lecz czeka na ciebie. Idź do domu
 Kornelii, wdowy po senatorze Katulinie, tam ją
 znajdziesz. Pytaj o ulicę wielką i o pałac Katulina,
 a każdy przechodzień wskaże ci drogę.

Stabor pośpieszył natychmiast do Sylwii.

Przechodnie wskazywali mu chętnie drogę, z
 łatowścią dotarł do pałacu Kornelii.

Tutaj oczekiwanym był widocznie, gdyż na
 schodach spotkał czarnego niewolnika, który, gdy go
 zapytał o Sylwię, poprowadził go natychmiast w
 głąb pałacu, do jednej z bardziej oddalonych kom-
 nat.

Lena powitała Stabora radośnie:

— Patrz, jak nam tutaj dobrze! — rzekła.

Sylwia spoczywała na wygodnym łożu, w ob-
 szernej komnacie, oświetlonej lampą, zwieszającą
 się od sufitu.

— Jesteś wreszcie — szepnęła, wyciągnawszy
 dłoń do wchodzącego.

— Jakąż bolesną przygodę zesłał Bóg na żonę
 Virinusa? — zapytał Stabor — rano jeszcze widzia-
 łem cię, pani zdrową?

— Siądź, a opowiem — odparła Lena.

I zaczęła mu opowiadać cały wypadek zaszły
 przy termach, a potem dodała:

— Szlachetna Kornelia oświadczyła nam, że
 nie pozwoli opuścić Sylwii swego pałacu, dopóki
 ta zupełnie do zdrowia nie przyjdzie. Mówi, że tu-
 taj bezpieczniejsze jesteśmy, niż gdziekolwiek in-
 dziej.

Nikt nie odważy się posadzać żony Katulina,
 aby dawała u siebie przytułek chrześcijanom. Zda-

je mi się, że jest na drodze do nawrócenia się, a może już jest nawrócona.

— Czy widziałeś Marcelina? — przerwała to opowiadanie Sylwia.

— Widziałem, ale tylko zdaleka — odparł Stabor.

— Biedny mój chłopiec! — szepnęła głosem zdławionym od łez — pastwią się nad nim, biją go... O, jakie to wszystko okropne, okropne!...

Z oczu jej łzy popłynęły.

— Uspokój się Sylwio, on znosi mężnie swoją dolę, widziałem go z uśmiechem pracującego, dziś wieczorem mówić z nim będę — rzekł Stabor,

Sylwia otarła łzy.

— Gdzie go spotkasz? — zapytała.

— Robotnicy term mają swój wasny dom, w którym noc spędzają, pod opieką dozorców, tam się dostanę.

— A pozwolą? — zapytała Lena.

— Złoto toruje wszędzie drogę — odparł Stabor.

Sylwia ściągnęła kosztowny pierścień i podała go Staborowi.

— Weź tę drobnostkę — rzekła — Rzymianie kochają się w błyskotkach.

Lecz młodzian nie przyjął pierścienia.

— Zachowaj go, pani, na gorsze czasy — odrzekł — Marcelin za hojnym był dla nas, abym już teraz był w potrzebie.

— Prawdziwy z ciebie przyjaciel — szepnęła Lena.

Stabor nie bawił długo u Sylwii, śpiesząc się do Marcelina.

— Jutro powtórzę wam rozmowę naszą — rzekł, podnosząc się aby je pożegnać — nie wątpię, że zastanę go spokojnym i pogodnym z losem.

— Nie każ czekać na siebie długo — zawołała Lena za odchodzącym.

W pobliżu budujących się łaźni Dyoklęcyana wznosił się długi i prosty budynek, w którym robotnicy spędzali noc na twardej, kamiennej posadzce.

Tutaj dozorczy łagodnieli, najczęściej tylko jeden pozostawał na straży, inni szli na spoczynek, lub hulankę.

Tak było i owej nocy, w której Stabor wybrał się odwiedzić przyjaciela.

Jedyny dozorca drzemał, chrześcijanie jedni już spali, drudzy się jeszcze modlili, inni, korzystając z pięknej nocy, wyszli przed dom i rozmyślałi o ich doli.

Zbliżając się do posępnego domu, Stabor spostrzegł Marcelina, siedzącego w pobliżu na kamieniu i zapatrzonego w gwiazdy, więc przystąpił do niego.

— Witaj, bracie! — rzekł głosem zniżonym,

— Stabor! — wykrzyknął nierozważnie Marcelin.

Dozorca się zbudził, ziewnął.

— Ho, ho! myszy korzystają ze swobody — mruknął — zapomnieli, że nie wszystkie koty stąd odeszły.

To mówiąc, wolnym krokiem posunął się w tę stronę, z której dobiegł go wykrzyknik.

Zastał Marcelina zajętego rozmową, Stabor siedział obok niego.

— Czy nie wiesz, że wam nie wolno przyjmować odwiedzin bez pozwolenia dozorczy? — zapytał surowo.

Stabor, nie czekając odpowiedzi przyjaciela, sięgnął natychmiast do kieszeni i bez słowa wyjaśnienia wsunął kilka sztuk złota w ręce dozorczy.

Niema ta mowa była bardzo zrozumiałą dla tego gorliwego sługi, wnet przeistoczył się w uśmiech dowcipnisi.

— Ale mi ptaszka nie ukradnij, bo za to Dyokelcyan ukradłby mi głowę — rzekł z uśmiechem.

— Chrześcijanie nigdy nie kłamią, wszak wiesz o tem — rzekł Marcelin — przyrzekam ci, że nie ucieknę.

Dozorca oddalił się spokojny i znów popadł w drzemkę.

— Widziałem twoją matkę, znajduje się pod dobrą opiekę — zaczął opowiadać Stabor. Zabrała ją do siebie Kornelia, zacna patrycyuszka, wdowa po senatorze Katulinie, otoczyła ona matkę twoją i Lenę jak najstaranniejszą opieką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKI.

Pierwsze i drugie w każdym alfabecie
Wśród samogłosek pozna każde dziecię;
Gdy w gramatyce wprawy nabędzie,
Łatwo w przyimków znajdzie trzecie rzędzie.
Wszystko zaś razem wędrowcom w pustyni
Miłą nadzieję odpoczynku czyni.

Łamigłówka kryształowa.

Słowo złożone z środkowych liter, oznacza obowiązek nałożony na kogoś.

Sylaby: Ka—Lu—bud—bał—nia—da—lis—nie—za.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska; 2) Zabawa; 3) rzeczownik zdrobniały; 4)..... 5) Imię żeńskie; 6) zwierzę; 6) Samogłoska E.

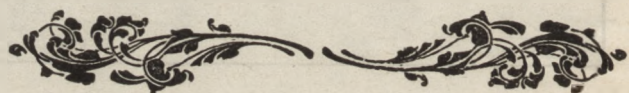
Rozwiązania Zagadek z No. 23.

Szarada: 1) WAR—SZA—WA.

2) WAR—KOCZ.

Łamigł. syl.: BOLESŁAW CHROBRY.

Dobre rozw. szarady i łamigł. nadesłali. M. Markówna; Marta Platoszyński; Leok. Piotrowska, Wac. Skibiński; An. Gehrkówna; Leok. Jaśkowiakówna ze szkoły św. St. K. Klara i Jadw. Karnowskie ze szkoły św. Jacka w Avondale.



Urzędowe sprawozdanie z obrotu funduszków Macierzy Polskiej.

Przychody w miesiącu Kwietniu 1907.

Sprawozdanie Sekretarza.			Sprawozdanie Skarbnika.		
Nr. Od.	Data otrzym.	Wykaz	Nr. Od.	Data otrzym.	Suma
działów.	listy opłat.	pieniędzy.	działów.	przekazu.	pieniędzy
I	10 K iet.	\$36.14	I	29 Maja	\$36.14
II	6 "	14.15	II	6 "	14.15
III	7 "	8.89	III	18 Kwietnia	8.89
IV	9 "	14.17	IV	15 "	13.55
V	13 "	17.17	V	8 "	17.17
VI	27 "	38.25	VI	29 Maja	38.25
VII	17 "	23.62	VII	3 "	25.84
VIII	10 "	23.23	VIII	9 Kwietnia	26.88
IX	9 "	45.99	IX	8 "	45.99
X	15 "	7.29	X	22 "	7.29
XI	14 "	8.55	XI	26 "	10.15
XII	24 "	53.07	XII	26 "	53.03
XIV	23 "	46.83	XIV	3 Maja	46.83
XV	22 "	35.54	XV	3 "	35.54
XVI	11 "	7.35	XVI	18 Kwietnia	7.5
XVII	20 "	10.76	XVII	19 "	10.76
XVIII	20 "	17.57	XVIII	22 "	17.57
XIX	20 "	24.29	XIX	3 Maja	24.29
XX	22 "	23.01	XX	3 "	22.91
XXI	2 "	17.23	XXI	29 Kwietnia	17.23
XXII	9 "	6.10	XXII	19 "	6.10
XXIV	18 "	31.05	XXIV	28 "	31.65
Razem		\$ 510.90	Razem		\$ 517.46
Kasa		8,804.12	Kasa		8,787.67
Suma		9,315.02	Suma		9,315.13

Wydatki w miesiącu Kwietniu.

Nr.	Data	Suma	Nr.	Data	Suma
przekazu	przekazu		kwitu	wypłaćnia	
504	1 Kwiec.	\$1.00	504	2 Kwiet.	\$1.00
507	5 "	.50	507	5 "	.50
508	5 "	50.00	508	5 "	50.00
509	5 "	25.00	509	8 "	25.00
510	9 "	.50	510	9 "	.50
511	9 "	6.00	511	9 "	6.00
512	9 "	4.50	512	9 "	4.50
513	9 "	3.00	513	9 "	3.00
514	9 "	3.25	514	19 "	3.25
Suma		\$93.75	Suma		\$93.75

Zestawienie za miesiąc Kwiecień.

Kasa	\$9,315.02	Kasa	\$9,315.13
Wydatki	93.75	Wydatki	93.75
Pozostaje	\$9,221.27	Pozostaje	\$9,221.38

Długi Oddziałów.

Nr. Oddziału.	Wykaz długów.
II	1.55
IV	.62
XI	.05
XII	.58
XV	.10
XX	.10
XXI	.23
Razem długi	3.23

Nadwyżki Oddziałów.

VII	.3
VIII	2.91
Razem nadwyżki	\$3.34

Zestawienie:

U Skarbnika	\$9,221.38
Różnica długów a nadwyżek	.11
Bilans	\$9,221.27
W. J. Jóźwiakowski, Sekretarz.	W. Sztanka, Skarbnik.
P. P. Kucharski,	Dyrektorzy.
Julian Nejman,	
F. Augustynowicz,	

Takt jest wydoskonaleniem rozpoznania, zastosowanego do stosunków ludzi pomiędzy sobą, wytwornym pojęciem tego, co jest najprzyzwoitszym.

Trzykroć się namyśl, nim słowo wyrzeczysz; trzykroć się zastanów, nim dzieło zaczniesz. Zbyt skory i w słowie i w dziele, sam sobie gotuje upadek.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ,

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patryotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r
Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30-go czerwca, 1906 r.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division St. Chicago, Illinois

ZARZĄD GŁÓWNY:

KS. FRANCISZEK GORDON, C. R., Moderator; JULIAN SZCZEPAŃSKI Prezes; AGNIESZKA NERING, I Wice-prezesa; MAKSYMILIAN BROCHOCKI, II Wice-prezes; WINCENTY J. JÓŹWIAKOWSKI Sekretarz Główny; WŁADYSŁAW SZTANKA, Skarbnik; PAWEŁ P. KUCHARSKI, Dyrektor; JULIAN J. NEJMAN, Dyrektor; FELIKS AUGUSTYNOWICZ, Dyrektor; FRANCISZEK SIATKOWSKI, I Marszałek; JAN SZPEKOWSKI, II Marszałek.

KS. FELIKS PADON, Redaktor; DR. BOLESŁAW KLARKOWSKI Lekarz Główny; LUDWIK JANKOWSKI, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; TEOFIL GORDON, Asystent Sekretarza Głównego; IGNACY CIESIELSKI, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. PIOTROWSKI Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem:

W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-mej do 10-tej. W niedziele, od godziny 3-ciej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko - katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom, na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitariusz, za konstytucy i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50c.; 16: 60c.; 17: 70c.; 18: 80c.; 19: 90c.; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitariusz 10c. Konstytucy 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00. Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c., assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równy wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki.

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależność członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawą w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przelać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Pocztą upomina się o nowe adresy następujących:

Oddział I.

Nr. 59. W. Mikołajewski.
Nr. 84. A. Modrzejewski.
Nr. 113 Józ. Dolatowski.

Oddział II.

Nr. 131. Fr. Bieszka.
Nr. 124. Stan. Kuliński.

Oddział III.

Nr. 5. Piotr Sentowski.
Nr. 48. Jan Galiński
Nr. 112 Józ. Krawiecki
Nr. 135 F. Szymkowski

Oddział IV.

Nr. 139. Stan. Lipiński.

Oddział V.

Nr. 79. Józef Jelesiński.
Nr. 80. Franciszek Gramza.
Nr. 85. Paweł Dorsch.
Nr. 94. Franciszek Ficht.
Nr. 100. Józef Rządowski.
Nr. 107. Józef Murawski.
Nr. 134. Jan Łepok.
Nr. 141. Ignacy Grenwald.
Nr. 151. Bolesław Roda.
Nr. 166. Idzi Bartnik.
Nr. 183. Franciszek Grzonkowski
Nr. 184. Michał Polek.

Oddział VI.

Nr. 132. L. Szarmański

Oddział VII.

Nr. 23. Anast. Czepek
Nr. 31. Winc. Młodzikowski.
Nr. 101. Stef. Ceglarski

Oddział VIII.

Nr. 51. Jan Fudema.
Nr. 67. Michał Gadacz.
Nr. 80. Wład. Michela

Nr. 95. Jan Wolff.

Nr. 99. Franc. Wolff.

Nr. 113. Roman Gadacz

Oddział IX.

Nr. 10 Salomea Kiecal
Nr. 145. Pelagia Janowiak
Nr. 188 Anast. Pełkowska.
Nr. 240. Helena Moza.

Oddział XII.

Nr. 5. Franc. Brzozowska.
Nr. 6. Stanisława Dryll.
Nr. 14. Marya Kuzyusz.
Nr. 131. Ewa Socka.
Nr. 140. Marta Bieszka.
Nr. 152. Agn. Guzikowska.
Nr. 154. Stan. Tobaczka.
Nr. 174. Weronika Dryll.
Nr. 194. Franciszka Laska.
Nr. 219. Kar. Kijeńska.
Nr. 220 Antonina Gort.
Nr. 146 Monika Szczepińska
Nr. 143. K. Zawadzki.

Oddział XIV.

Nr. 26. Fran. Skotnicki.

Nr. 37 Józef Kunka,
Nr. 44. J. Bakanowicz.
Nr. 56. Ant. Jarzyna.
Nr. 79. Józef Jakubek.

Nr. 83. T. Gnaciński.

Nr. 94. Jan Kabaciński.

Oddział XV.

Nr. 79 Marya Przybek

Oddział XVIII.

Nr. 33. Marya Konwińska

Oddział XIX.

Nr. 7 Broniś. Górniak
Nr. 34 Edwarda Rickowska
Nr. 43. Paulina Mroczek.
Nr. 44 F. Rickowska,

Oddział XX.

Nr. 16 Franc. Serba,
Nr. 42 Marya Huntowska,
Nr. 60 Franc. Santowska,
Nr. 61 Pel. Kwiatkowska,
Nr. 73. Marta Jażdżewska.
Nr. 74. Marya Górską.
Nr. 79 Marva Gackowska.

Urzędowe zawiadomienie.

Nadzwyczajny podatek na Pośmiertne.

Cyrkularz Nr. 26.

Na miesiąc Lipiec r. 1907 wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc Lipiec, roku 1907, przypa-

da podatek nr. 26 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go Maja 1907 r., wynoszący trzydzieści centów, na pokrycie wypadku pośmiertnego: Nr. 40 ś.p. Piotr Wałaszkiwicz Oddz. 14, suma \$450.00.

Liczba członków i członkiń opodatkowanych 1576.

Zwracamy uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być nie zwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Wszystkie podatki do Kasy Gł. w miesiącu Lipcu, 1907 r. razem wynosić będą 50 centów.

Z bratniem pozdrowieniem
Julian Szczepański, prezes.

Win. Józwiakowski, Sekretarz.

Chicago, dnia 12go czerwca 1907.

DO WSZYSTKICH CZŁONKÓW I CZŁONKIŃ

Macierzy Polskiej.

Klub Kościuszki na Stanisławowie zaszczycił wszystkie Oddziały naszej organizacji zaproszeniem do współudziału w wielkiej "Świętojańskiej Zabawie Ogrodowej" urządzonej na pomnożenie funduszu na odbudowanie spalonej przed pół rokiem szkoły św. Stanisława Kostki. Zabawa ta odbędzie się w przyszły poniedziałek, dnia 24go b.m. we dnie i wieczorem w Parku Branda, przy Elston Avenue o blok na północ od Belmont Ave.

Zaproszenie to powinno przemówić do każdego serca w Macierzy Polskiej. Wszyscy członkowie Macierzy Polskiej powinni brać sobie za obowiązek podać dłoń Stanisławowianom do wydzignięcia ich szkoły z gruzów i popiołu.

Stare Stanisławowo to nasza matka, to kolebka naszej organizacji. Stanisławowo zawsze macierzyńską otaczało nas opieką. W jego szkole większość naszych

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8m w wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościeli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysłać przez
Money Order lub w jednocentowych znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarskim wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce

założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

**Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,**
wykonująca wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły pisać pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

pobierała, nauki w jego kościele
większość do pierwszej przystą-
piła Komunii świętej. Tyle dro-
gich sercu wspomnień wiąże nas
ze Stanisławowem i jego histo-
ryą. To też dzisiaj, kiedy za po-
średnictwem swego Klubu Oby-
watelskiego, na którego czele stoi
nasz czcigodny Ksiądz Modera-
tor wzywa naszej pomocy, nie-
bądźmy złymi synami i niedobry-
mi córkami, lecz idźmy za gło-
sem serca, weźmijmy wszyscy u-
dział w poniedziałkowej zabawie
i bawiąc się w wielkim kole na-
szych najlepszych przyjaciół,
przyczynimy się do uzyskania jak
największego z niej dochodu.

Program zabawy jest bardzo
urozmaicony a ogród zalicza się
do największych i najlepiej urzą-
dzonych w Chicago.

Kto z nas nie może uwolnić
się od swych zajęć codziennych i
pojechać we dnie, niech jedzie
wieczorem. Zabawa trwać będzie
do północy. Tramwaj Elston Ave.
zawozi aż przed bramę ogrodu.
Bilety kosztują tylko 25 centów
od osoby.

Specyjalną dla nas atrakcją po-
winien być ten szczegół zabawy,
że siostry nasze z Oddziału św.
Kingi służyć będą jako gosposie
w strojach narodowych — kra-
kowskich. Będziemy więc jak u
siebie i chwil tam spędzonych z
pewnością nie pożałujemy.

Przedewszystkiem zaś pamię-
tajmy, że cel zabawy jak najsza-
chetniejszy i poparcia naszego ze
wszechmiar godny.

NAJSTARSZY CZŁOWIEK W GALICYI.

Włościanin, Antoni Proć, zmarł
w tych dniach w Lachowicach
Podróznych, w pow. żydaczow-
skim, przeżywszy 114 lat. Za cza-
sów pańszczyźnianych był atama-
nem dworskim, do ostatnich zaś
chwil życia cieszył się zupełnym
zdrowiem. Brakowało mu tylko
czterech zębów.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączką powietrzem, Wibracją, Elek-
tryką, Massowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią,
Sugestją, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności

swój wielki SKŁAD OBUWIA

pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,

pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trze-
wki modne i trwałe dla mężczyzn,
dam, młodzieży i dzieci po cenach
umiarowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

**Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.**

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrziny, itp.

818 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w nocy. —

Fotografie!

Wykonujemy w naj-
nowszy styl i naj-
modniejszych po-
zy-
ciach. Ślubne fotogra-
fie wykonujemy z wielką
dokładnością; nawet
w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy foto-
grafie pod gwarancją. Jedyna galeria, która po-
siada światło Rembrerta. Ceny zniżone dla grup,
towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 18x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ

w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

**Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.**

Nagroda I-sza:

**Za 10 nowych członków lub
członkiń.**



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Ho!d zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

**Za 10 nowych członków lub
członkiń.**



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na kłapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-cia:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po na'epsze szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.

x

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zg.ście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,
625 Noble ul., Chicago.
JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członk Fire Underwriters Association.
Asskurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.
Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI
ADWOKAT.
Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Półkój 307, 3cie piętro. Tel. Central 308.
Wiceprez 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427
Miesz. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1854

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.



Why pay big prices to build Tunnels and Sky-scrappers? You can save money and improve the West Side by Buying at Home. Get the Union Label. Good Clothes.

THE ARMITAGE
Milwaukee & Armitage Aves.